

czas. Co do Ducha Świętego, obiecał nam Pan Jezus, że będzie On z nami na zawsze. To właśnie dzięki Duchowi Świętemu będziemy zdolni do życia wiecznego, bo to właśnie On sprawia naszą jedność z Chrystusem. Dwa warunki jednak musimy spełnić, abyśmy mogli otrzymać Ducha Świętego. Musimy kochać Pana Jezusa oraz być posłuszni Jego przykazaniom: "Jeżeli Mnie miłujecie i będziecie zachowywać moje przykazania", Ja uproszę wam innego Pocieszyciela. Wnikliwe pytanie nasunęło się tu świętemu Tomaszowi z Akwinu: jakżeż mamy spełnić ten pierwszy warunek, skoro właśnie Duch Święty wlewa w nas miłość do Pana Jezusa? Święty Tomasz wykorzystuje to pytanie, ażeby pokazać umieszczoną w nas przez Pana Boga zdolność do wzrastania miłości nawet w postępie geometrycznym. Pierwszą miłość do Boga otrzymujemy, rzecz jasna, absolutnie darmowo. Bóg pierwszy nas umiłował i tylko dlatego my możemy Go miłować. Ale kiedy już kochamy Boga i "Tego, którego On posłał, Jezusa Chrystusa", ta nasza miłość otwiera nas na przyjęcie Ducha Świętego. Przyjmując zaś Go, wzrastamy w miłości Bożej coraz więcej i więcej, a zarazem zwiększa się w nas zdolność, żeby kochać Go jeszcze więcej. **Gdyby grzeszność, jaka jest w każdym z nas, nie hamowała rozwoju tej wspaniałej dynamiki, zapewne wszyscy bylibyśmy co najmniej tak święci jak Franciszek z Asyżu czy Matka Teresa z Kalkuty.** Ale pomimo tej przeszkody naprawdę możemy coraz więcej wzrastać w miłości Bożej i w ten sposób coraz lepiej znać Pana Jezusa. Jak to On sam powiada w dzisiejszej Ewangelii: takiego "Ja będę miłował i objawię mu siebie".

Setna rocznica urodzin św. Jana Pawła II

(z homilii abp. Stanisława Gądeckiego, Jasna Góra, 3 maja 2020 roku)

„W książce pt. „Matka Papieża” wydanej przez krakowskie wydawnictwo ZNAK jest opisany nieznanym szerzej wątek dotyczący urodzin Papieża Polaka. Czytamy w tej publikacji: „Gdy nadeszła jesień 1919 roku Emilia Wojtyła wiedziała już, że spodziewa się następnego dziecka. Długo na nie czekała. Od śmierci córki Olgi – która zmarła zaraz po urodzeniu – minęły ponad trzy lata i zaczynała się martwić, czy w ogóle będzie jeszcze mogła mieć dziecko. Tym bardziej że miała już trzydzieści sześć lat i sił jej ubywało. A jeszcze bardzo pragnęła, aby jej syn Edmund miał rodzeństwo. W końcu jej nadzieje się spełniły. Tą wspaniałą wiadomością podzieliła się natychmiast z mężem i z synem. Była szczęśliwa, ale idylla trwała krótko. Od doktora Jana Moskały – znanego wadowickiego ginekologa i położnika – Emilia usłyszała diagnozę, która brzmiała jak wyrok: ciąża jest zagrożona. Nie donosi jej pani i nie ma pani szans urodzić żywego dziecka. A jeśli dziecko się urodzi,



to tylko kosztem życia matki. Aby ratować siebie, powinna pani usunąć poczęte już dziecko – oznajmił lekarz. Co robić? W tych godzinach Emilią targają sprzeczne emocje. Miała przecież już syna Edmunda, któremu była jeszcze potrzebna; chłopiec miał bowiem dopiero trzynaście lat. Jak poradzi sobie bez matki? A jeśli oboje – i ona i niemowlę – nie przeżyją porodu, co wtedy się stanie? Edmund nie będzie miał ani matki, ani rodzeństwa. No i co z mężem? Czy jedno życie ma być ważniejsze niż drugie? Każde ma przecież taką samą wartość i każde jest święte, dane człowiekowi przez Boga – wierzyła w to mocno. Wiarę traktowała poważnie. Rozumiała, że albo ją zastosuje w praktyce, albo nie może mówić o sobie, że jest osobą wierząca. A więc życie za życie? I wtedy mąż sprowadził innego lekarza, Samuela Tauba. Poprosił go, aby poprowadził ciążę żony i zadbał o to, aby podreperował jej zdrowie i wzmocnił jej organizm. Doktor Taub był świadomy tego, że utrzymanie przy życiu poczętego dziecka może skończyć się tragicznie, nie należał jednak na aborcję. Podjął się ryzyka poprowadzenia ciąży Emilii na wyraźną prośbę obojga małżonków i na ich odpowiedzialność. Gdy czuła, że zbliża się czas porodu, mąż przyprowadził do domu położną, która miała odebrać dziecko, sam natomiast zabrał Edmunda i poszedł z nim do kościoła. Miał taki zwyczaj, że w ważnych momentach życia oddawał się modlitwie. Nie było wówczas w zwyczaju, by mężczyzna uczestniczył w przychodzeniu dziecka na Świat. I tak to, dnia 18 maja 1920 roku około godziny siedemnastej, urodził się drugi syn Emilii, Karol. Tego dnia w Wadowicach było wyjątkowo gorąco jak na tę porę roku. Temperatura dochodziła do trzydziestu stopni Celsjusza. Emilia leżała w salonie. Gdy skurcze porodowe stawały się coraz silniejsze, poprosiła położną, żeby otworzyła okna, potrzebowała więcej powietrza. Gdy zbliżała się siedemnasta, rozległo się bicie kościelnego dzwonu, a potem śpiew Litanii loretańskiej. W tym właśnie momencie przychodziło na Świat dziecko Emilii. Rodziła je, wsłuchując się w śpiew litanii ku czci Matki Bożej. Urodził się chłopiec wyjątkowo duży, silny, zdrowy. Matka czuła wzruszenie i szczęście, była przekonana, że zdarzył się cud, bo i ona i dziecko żyją. Na domiar tego, zamiast chuderlawego dziecka, jakiego się spodziewała, urodziła dużego, mocnego chłopca. Niemożliwe stało się możliwe. Opowiadała o tym później położną, która zapamiętała ten poród na całe życie. Drugiego tak niezwykłego – przy śpiewie Litanii loretańskiej – nigdy nie odbierała. Ojciec Święty znał tę historię, rozmawiał potem ze wspomnianą akuszerką i pamiętał, że przychodził na Świat przy śpiewie litanii ku czci Matki Bożej. Papież dopatrywał się pewnego symbolu w tym fakcie. W rocznicę swoich urodzin powiedział w jednej z włoskich parafii: „Urodziłem się pomiędzy godziną siedemnastą a osiemnastą, czyli o tej samej godzinie, o której pięćdziesiąt osiem lat później zostałem wybrany papieżem”.

(por. Emilia, matka papieża Jana Pawła II. Narodziny Lolka. Gazeta Krakowska – 3.10.2013).